

Justyna Budzik

„*Mnogość jest w moim umyśle...*” Zygmunta Ławrynowicza  
spotkania z poezją Johna Robinsona Jeffersa

Człowiek wrzucony w wir współczesnego świata próbuje znaleźć w nim własną przestrzeń, zachować autonomię, wreszcie ocalić swe prawdziwe, indywidualne „ja” i uchronić je przed rozmyciem w gęstej ludzkiej masie betonowych metropolii. Akcja codzienności rozgrywa się w zawrotnym tempie, a ten, kto nie nadaża, zostaje wykluczony z wyścigu i pogoni za tak zwanym szczęściem, które ma różne oblicza, lecz to materialne najbardziej kusi i też najgłośniej jest promowane. Człowiek współczesny staje więc przed trudnym wyborem. Może być jedną z wielu cząsteczek, czy, jak pisze w swym wierszu Andrzej Busza, jednym z tysięcy kręgów. Jeśli jest zbyt słaby, „uszkodzony lub popękany”<sup>1</sup> – jak powiada poeta – odpada, jeśli zaś jest w nim wola i niczym niezmałowane pragnienie sięgnięcia po najbardziej pożądane trofea – pieniądź i władzę, „przyśpiesza po stokroć”<sup>2</sup>, poddając się wszelkim regułom okrutnej, stechnicyzowanej i zdehumanizowanej współczesności, w myśl zasady, że przecież cel uświęca środki, nawet te budzące moralny sprzeciw. Jeśli zaś nie zgadza się na taki stan rzeczy i pragnie kontestować otaczającą rzeczywistość i wszelkie mechanizmy, które jego zdaniem prowadzą ostatecznie do zagłady rodzaju ludzkiego, może wybrać rolę „samotnej wyspy” i nie identyfikować się z pustymi wartościami i ludźmi, którzy im służą.

Zygmunt Ławrynowicz, poeta i tłumacz, związany z londyńskimi „Kontynentami”, właśnie tej problematyce poświęcił wiele swych utworów poetyckich. Porażająca diagnoza współczesności znalazła chyba swe najpełniejsze odbicie w zbiorze *Anglobabilon*, choć przecież nie tylko w tym tomie poeta-poliglota przedstawia niezwykle gorzkie konstatacje na temat człowieka i świata, któremu nadaje on okrutny kształt, skażony brakiem wartości duchowych. Pesymistyczna refleksyjność Ławrynowicza ma interesujące korzenie, terminuje on u amerykańskich poetów XIX i XX wieku. Pisarz pozostaje pod wpływem myśli transcendentalisty Ralpa Waldo Emersona oraz Johna Robinsona Jeffersa, którego obecnie wpisuje się w nurt tak zwanej poezji ekologicznej.

---

<sup>1</sup> A. Busza, *The Dogs of Manhattan*. Utwór pochodzi z maszynopisu udostępnionego mi przez poetę.

<sup>2</sup> Tamże.

Nie są to oczywiście wszystkie interferencje literackie, jakie towarzyszyć mogą lekturze poezji Ławrynowicza. W kręgu jego filozoficznych zainteresowań istotne miejsce zajmuje również amerykański trapista Thomas Merton. Emersonowski duch, który unosi się nad poezją Ławrynowicza, patronuje przemyśleniom poety, choć współtwórca jednego z najważniejszych nurtów intelektualnych w filozofii amerykańskiej nigdy nie znalazł się w centrum translologicznych zainteresowań poety, z czym mamy do czynienia w przypadku twórczości Jeffersa czy Mertona. Ławrynowicz jest autorem przekładów wierszy Jeffersa oraz *Zapisków współwinnego widza* Thomasa Mertona. Właśnie ten wymiar twórczości Ławrynowicza, a więc współistnienie i przenikanie się własnej poezji z twórczością pisarzy angloamerykańskich zwłaszcza, a także ściśle z tym powiązane wybory translologiczne, interesują mnie szczególnie.

Podobnie jak inni Kontynentczycy – Andrzej Busza czy Bogdan Czaykowski – Ławrynowicz żył i tworzył w świecie kultury anglosaskiej, nie dziwi więc fakt, że w jego własnej twórczości tak oczywiste są jej wpływy. O ile w przypadku twórczości Buszy i Czaykowskiego wyraźnie rysują się inspiracje poezją Willama Blake’a, Thomasa Stearnsa Eliota, Ezry Pounda czy Dylana Thomasa, o tyle w przypadku poezji Ławrynowicza miejsce szczególnie zajmuje filozofia Jeffersonowska. Na jakiej zasadzie istnieje ona w liryce polskiego poety i jak układa się ten interesujący polsko-amerykański dialog, wreszcie, co wnosi on do własnej twórczości Ławrynowicza?

Anatema w poezji Jeffersa skierowana jest w stronę człowieka, przedstawianego w tej liryce jako jednostka ułomna, uwikłana w „samouwielbienie”<sup>3</sup>, jako interpretator rzeczywistości, lecz nie główny bohater na poetyckiej scenie autora *Be Angry at the Sun*. Jeffers nie pisze o człowieku biednym, zagubionym i poszukującym sposobu, by wyrwać się z paszczy potwornego miejskiego lewiatana. Liryka ta nie jest kreślona współczuciem, a skoro nie ma w niej człowieka zgnębionego, któremu po chrześcijańsku należy podać dłoń i przeprowadzić przez zmaczone wody współczesnej cywilizacji, nie ma też w niej empatii czy jasno wyartykułowanej potrzeby solidaryzowania się z gatunkiem ludzkim. Przeciwnie, poezja ta zrodziła się z wyraźnego buntu i niezgodny na rządy człowieka „w fałsz poowijanego”<sup>4</sup>, który swe życie składa na ołtarzu

<sup>3</sup> J.R. Jeffers, *Wiersze*, wybór, przekład i słowo wstępne Z. Ławrynowicz, Warszawa 1968, s. 36. W kolejnych przywołaniach stosuję skrót *W* odnoszący się do tego zbioru.

<sup>4</sup> Z. Ławrynowicz, *Morro Bay*, [w:] tegoż, *Anglobabilon*, Wydawnictwo Kwiat Lotosu, Londyn 1986, s. 63. W kolejnych przywołaniach tego zbioru stosuję skrót *A*.

molocha, odrzucając możliwość egzystencji w zgodzie z naturą i jej prawami. Podmiot mówiący w poezji Jeffersa jest nie tylko zaniepokojony kondycją współczesnego człowieka, ale wyraźnie zniesmaczony jego postawą i najchętniej nie identyfikowałby się z gatunkiem ludzkim, czemu daje wyraz w wielu strofach przełożonych na język polski przez Ławrynowicza („ptak samotny droższy mi się wydał niż gromada ludzi” – *Czapla i ludzie*, W, s. 27). Ostrze krytyki wymierzonej w człowieka oraz wyraźny brak akceptacji dla jego egocentrycznej i chytrej natury, zbliża przemyślenia Jeffersa do niezwykle gorzkich i pesymistycznych opisów rodzaju ludzkiego znanych z kart powieści Jonathana Swifta.

Jest więc człowiek Jeffersa rozczarowany „rozmaitymi okazami ludzkimi” (*Czapla i ludzie* – W, s. 27), będącymi kreatorami hybrydowej cywilizacji, nad którą, jak na ironię, nie potrafią zapanować:

Teraz udoskonaliwszy broń zwraca ją przeciw sobie,  
Te noże mają jednak żarłoczne ostrza.  
Własny umysł wróży mu samozagładę  
[...]  
Miniaturowa wiedza, kamyk podjęty z żwiru,  
Kropla zaczerpnięta z oceanu – i kto by pomyślał,  
Że tak minimalna ilość okaże się nadmiarem?  
(*Wiedza* – W, s. 36)

Już tych kilka wyimków z poezji Jeffersa i zaledwie zarys jego postawy filozoficznej pozwala bez większych problemów postawić tezę, że bardzo podobne, a niekiedy wręcz te same rozpoznania pojawiają się w twórczości Ławrynowicza, autora polskiej wersji wybranych wierszy Jeffersa. Ławrynowicz „śpiewa swój gniew” wymierzony w człowieka. Odmienne niż Walt Whitman nie celebrował ani jednostki samej w sobie/jednostki indywidualnej, ani siebie jako elementu wielkiego demokratycznego organizmu. Nie ma też w podmiocie mówiącym (a jest nim, podobnie jak u Jeffersa, autor wierszy) ekscytacji czy potrzeby celebrowania bycia Każdym na tle wielkiej zbiorowości ludzkiej, nie ma zatem miejsca na radość czy Whitmanowskie uniesienia.

W *Anglobabilonie* autor mnoży pejoratywne określenia odnoszące się do człowieka i jego bezmyślnego, a często destrukcyjnego działania. Pisze z bólem o dżungli z betonu, gdzie roi się od „milionów rąk, milionów nóg, milionów twarzy” (*Miasto II* – A, s. 11), którą przemierza w poszukiwaniu „zagubionej ojczyzny”, ale w istocie również w poszukiwaniu brata, siostry, prawdziwych towarzyszy niedoli. Nie znajduje ich i ze smutkiem wyznaje: „daremne jest

szukanie moje” (*Miasto II – A*, s. 11), bo, jak napisze jego duchowy przyjaciel, Robinson Jeffers, „ludzie nienawidzą prawdy” (*Kassandra – W*, s. 58), również tej wpisującej się w prawdziwe przyjacielskie relacje. Przemierza więc obce miasto kamiennych ulic i kamiennych ludzi. W wierszu *Miasto II*, z którego pochodzi przywołane stwierdzenie, rezonują strofy Jeffersa, który w jednej ze swych katastroficznych wizji pisze o człowieku, który „ogładany z wysoka robi wrażenie insektu / Bez żadnego związku z człowiekiem” (*Apologia koszmarnych snów – W*, s. 36). To samo określenie pojawia się w dalszej części cyklu o mieście Ławrynowicza, gdzie poeta opisuje „mrowisko insektów metalowych (*Miasto IV – A*, s. 14), zniewolonych przez cuda techniki, do nich się modlą, „adorując boga benzyny” (*Miasto I – A*, s. 8).

Człowiek z kamienia, człowiek, który staje się zaprzeczeniem wszystkiego, co z człowieczeństwem ma związek, tworzy nieludzkie mrowisko o przedziwnym rodowodzie, niczym odrażające Swiftowskie postaci Yahoos. Katastrofizm Ławrynowicza jeszcze bardziej przeraża, ludzie, o których pisze, są bowiem „martwi do połowy” (*Miasto III – A*, s. 13), pozbawieni wrażliwości nie potrafią płakać nad losem bliźniego, nie ma w nich emocji. Wydrążeni ludzie, „bestie na tylnych łapach”, „dwunożna istota, największy bandyta na całej kuli ziemskiej” (*Speedy Gonzales – A*, s. 88), ale – jak pisze dalej Jeffers – „z elokwentnymi ustami” (*Apologia koszmarnych snów II – W*, s. 39).

Jak więc zrozumieć, jak zaakceptować tak okrutną naturę ludzką, czy jest dla człowieka jakiś ratunek zanim ostatecznie zostanie strącony w otchłań nicości? W *Anglobabilonie*, podobnie jak w zbiorze wierszy Jeffersa tłumaczonym przez autora *Syna marnotrawnego*, trudno znaleźć optymistyczne fragmenty, w których człowiek ukazany byłby w jasnych barwach. Ławrynowicz odnajduje u Jeffersa to, w co sam – jak wolno przypuszczać – wierzy, mianowicie, że trudno „dojrzeć piękno w którymkolwiek z czynów człowieka, to znaczy czynów chorego mikroba” (*De Rerum Virtute – W*, s. 61). Człowiek Jeffersa jest niczym ciemnopióry ptak (kolejny obraz negatywnie naznaczony): „Który nigdy, ani na chwilę, choćbym nie wiem jak / łątał dziurawe sukno braterstwa, / Nie zgodził się zawrzeć pokoju z ludźmi (*Ciemnopióry ptak – W*, s. 47). Ciekawe, że w *Anglobabilonie* Ławrynowicza pojawia się niemalże identyczna symbolika ciemnoskórego ptaka, osieroconego przez

[...] zabił ojczyznę  
przez brata język  
i siostrę muzykę  
niemy i głuchy w świecie

w którym miejsca nie ma  
 dla ciemnoskórych ptaków  
 ulicami grozy  
 idzie bezdomny środkiem  
 cementowych lasów  
 (Zbędny – A, s. 28)

Te porównania, które nie wywołują pozytywnych skojarzeń, zmierzają, zarówno u Ławrynowicza jak i u Jeffersa, w kierunku następującego wniosku – organizm ludzki toczy wyniszczająca choroba. Obaj poeci stawiają podobne rozpoznanie – współczesna cywilizacja „dawno zapomniała co to takiego jedność stworzenia” (*Człowiek w mieście* – A, s. 20) – napisze Ławrynowicz. Być może nadzieja i ocalenie jest w powrocie do życia w ścisłym związku z rytmem przyrody, a więc w powrocie do natury prawdziwej cnoty, co Jeffers wyklada w utworze *De Rerum Virtute*. Czym zatem jest prawdziwa cnota i jedność stworzenia, i jak osiągnąć ten pożądaný stan? Jak wolno przypuszczać, zarówno Ławrynowicz jak i Jeffers mają na myśli jednię duchową, w której współistnieją ze sobą trzy wartości: Bóg, natura i człowiek. W świetle przemysleń XIX-wiecznych transcendentalistów amerykańskich, a zwłaszcza Ralpa Waldo Emersona, dochodzi wówczas do odrodzenia j a wewnętrznego, co myśliciel przedstawia w sztandarowym eseju myśli transcendentalnej, zatytułowanym *Natura*. To właśnie ona jest główną bohaterką, czy, by tak rzec, spoiwem, źródłem, z którego słaby człowiek czerpie energię, a ta regeneruje jego duchowość i oczyszcza go wewnętrznie. Przywołajmy słowa Emersona:

W obecności natury, mimo prawdziwych smutków, jego [człowieka – J.B.] ciało przebiega rozkoszny dreszcz. Natura powiada wówczas: „on jest moim dziełem, mimo wszystkich dręczących go trosk przy mnie zazna ukojenia”. Nie tylko słońce i lato, lecz również każda chwila i każda pora mają swój udział w owej radości, albowiem każda chwila i każda zmiana w naturze – od parnej godziny południa aż po najpóźniejszą noc – odzwierciedla i sankcjonuje rozmaite stany umysłu. Natura jest tłem, które w równym stopniu pasuje do komedii jak i do lamentacji<sup>5</sup>.

Natura obdarowuje człowieka regenerującą siłą, choć ostatecznie nie jest jej jedyną dysponentką. Sama bowiem jest „posiadłością Boga, panują w niej dobre obyczaje, niezakłócona jest pierwotna świętość, odbywa się też wieczny festiwal, a goście nawet na myśl nie przychodzi, że kiedykolwiek mógłby się tym zmęczyć. W lasach wraca nam rozum i wiara. To właśnie tam czuję, że nie może mnie spotkać nic złego - żadna niełaska, żadne nieszczęście,

---

<sup>5</sup> R.W. Emerson, *Natura*, przeł. M. Filipczuk, posł. P. Gutowski, Kraków 2005, s. 10.

których natura nie mogłaby naprawić”<sup>6</sup>. Tak pisze Ralph Emerson, wprawiając czytelnika w błogi, niezmałony niczym stan ducha.

Przenikają się w tym sielskim opisie pierwiastki boskie i ziemskie, sacrum z profanum, a człowiek, który jest częścią tej zupełnie wyjątkowej synestezji najlepszych duchowych doznań, może się czuć całkowicie bezpiecznie, bowiem przepływają przez niego „prądy bytu uniwersalnego”<sup>7</sup>, jest cząsteczką Boga. Duchowe *katharsis* wypełnia się do końca, gdy człowiek „pośród spokojnego krajobrazu [...] spostrzega coś równie pięknego, jak jego własna natura”<sup>8</sup>. Zatem, za pośrednictwem natury obdarzonej boskim pierwiastkiem, namaszczonej przez Boga na przekazicielkę jego mocy, człowiek odradza się, przemienia się duchowo, oczyszcza. Czy takie pocieszenie Ławrynowicz odnajduje w poezji Jeffersa i czy Emersonowska myśl terminuje również w jego liryce?

Wiersze, które można by zaliczyć do nurtu poezji ekologicznej, pomieszczone są przede wszystkim w *Anglobabilonie*. Pojawia się tu poetycki „flirt” z przyrodą, w której Ławrynowicz lokuje swej najszczerze i najcieplejsze uczucia. Efektem radości wynikającej z obcowania z naturą jest cykl, którego bohaterami stają się zwierzęta i drzewa: drozd, wiewiórka, buk czy kolcolist. Tam gdzie „pani przyroda” otwiera swoje komnaty, poeta pochyla się nad boskim stworzeniem i z czułością zwraca się do niego, traktując jak równoprawnego mieszkańca tej ziemi: „zresztą masz prawo żyć tu na wspólnej nam ziemi / gadzino - bądź zdrowa!” (*Do gadziny* – A, s. 73). Ławrynowicza szkice z natury, która jako jedyna „podaje [człowiekowi] poduszkę uczciwą” (*Causey Pike* – A, s. 97), zakłóca widmo ludzkiej ingerencji, niszczycielskiej aktywności, która wynika z przekonania, że człowiek ma prawo dowolnie ingerować w prawa natury i zmieniać je wedle swego uznania. Poeta prosi o wybaczenie powalone ludzką ręką drzewo, którego „kolor zapach i szelest wchłaniał chciwie” (*Buk* – A, s. 78), i które nazywa swym zielonym przyjacielem. Człowiek ośmiela się więc burzyć pierwotną świętość i piękno, mimo iż, jak wyraża to Jeffers:

Jeden nam blask zostaje, piękno nie ludzi, lecz rzeczy,  
Ogromne piękno świata, nie ludzkiego świata.

<sup>6</sup> Tamże, s. 10.

<sup>7</sup> Jw. Podobne Emersonowskie rozpoznanie odnajdziemy w wierszu *Bosko zbyteczne piękno*, w którym poeta pisze o spontanicznej energii przepływającej przez wszystkie stworzenia: „Bosko zbyteczne piękno/Kieruje zabawami, przyduje losom, sprawia, że drzewa rosną./ Piętrzą się góry, łamią fale” (*W*, s. 9). Por. komentarz na ten temat w *A History of American Literature*, R. Gray (ed.), Wiley-Blackwell 2012, s. 355.

<sup>8</sup> R. W. Emerson, dz. cyt., s. 10.

Spójrz – okiem nie wyobraźni, żądy czy marzenia – wprost  
 Na te góry i morze. Czyż piękne nie są?  
 (*De Rerum Virtute – W*, s. 62)

U Jeffersa, podobnie jak u Ławrynowicza, największy szacunek należy się nie człowiekowi, lecz przyrodzie, choć ona w obrazach amerykańskiego poety często bywa drapieżna i niebezpieczna. Kalifornijskie wybrzeże z jednej strony fascynuje i zachwyca, z drugiej zaś niepokoi. Nie bez przyczyny zapewne w poezji autora *Hungerfield* pojawiają się ptaki drapieżne, jak jastrząb czy sokół. Majestat przyrody, jej nieokiełznanego piękna symbolizują góry i ocean, który „rozkołysał się na sztorm daleki i wali w mury swych granic” (*Kres kontynentu*, W 16). Obraz to niewątpliwie piękny, ale równocześnie wywołujący poczucie niepokoju czy wręcz zagrożenia. Być może ma on być przestrożą dla „dwunożnego bandyty” (jak pisał Ławrynowicz), by w porę zrozumiał, że sam skazuje się na zagładę wybierając samotność wśród ludzi, choć ma alternatywę. Nikt bowiem, jak pisze autor *Błędnych ogników*

nie jest samotny w górach  
 sam na sam z przyrodą  
 i z Bogiem w sercu  
 samotni jesteśmy wśród ludzi  
 którzy ulegli maszynie  
 i wyrzekli się Boga  
 samotni jesteśmy w mrowiskach miast  
 w spróchniałym centrum  
 skoszarowanej ludzkości  
 [...]
   
 Samotni jesteśmy na ludnej ulicy  
 Gdzie wszyscy są sobie nieznani  
 I nie pragną przełamać obcości  
 (*Sty Head – A*, s. 94–95)

Alternatywą więc jest odnalezienie sensu i nadziei w triadzie Bóg-natura-człowiek, odejście od „przyziemnej” egzystencji, wyrwanie się z uścisku „elektronowych szatanów”, wreszcie wyjście poza obręb świata pozbawionego Boga, czy, jak ciekawie pisze amerykański poeta, „odczłowieczenie naszej myśli”. Przy wielu pokrewieństwach filozoficznych i światopoglądowych, jakie można wskazać w poezji Ławrynowicza i Jeffersa, rysują się pewne różnice, gdy chodzi o kwestie Boga i jego obecności w świadomości obu poetów. U Jeffersa, zgodnie z myślą Emersonowską, Bóg jest nieodłączną i nadrzędną częścią natury, którą powołuje do istnienia. Kreuje „niewiarygodne, nieokiełznanie piękno”, jest więc Bogiem dobra, ale i – jak pisze poeta – „zło stwarzam: Jam jest Pan” (*Apologia koszmarnych snów – W*, s. 38).

W innym miejscu Jeffers napisze o Bogu zdradliwym, pełnym niedorzeczności, ale będącym jedynym fundamentem i źródłem. Jak pamiętamy, z liryki Jeffersa wyłania się podobnie dwuznaczny obraz natury – pięknej i drapieżnej zarazem, która może ukazać swe niebezpieczne oblicze. W tym względzie Ławrynowicz prezentuje odmienną postawę. W Bogu szuka bowiem schronienia i to jego prosi, by rozproszył w nim ciemności i uchronił przed cywilizacją skażoną nienawiścią i drapieżnością właśnie.

*Anglobabilon* Ławrynowicza, który obejmuje wiersze poety z lat 1965–1985, ukazał się 20 lat po wydaniu tłumaczeń poezji Robinsona Jeffersa. Zbiorowi temu bez wątpienia patronuje poeta kalifornijski, a jego filozofia bardzo wyraźnie koresponduje z wieloma przemyśleniami Ławrynowicza. Równocześnie trudno oprzeć się wrażeniu, że polski poeta utożsamiał się również z poglądami Thomasa Mertona, którego *Zapiski współwinnego widza* przetłumaczył wraz z Markiem Maciołkiem. W kontekście zarysowanych tu rozważań warto zauważyć, że refleksje amerykańskiego trapisty o współczesnym świecie, na który tak uskarża się Ławrynowicz, świecie – „pustyni brył”<sup>9</sup>, również koncentrują się na ostro krytykowanym wymiarze ludzkiej egzystencji. Merton w ten oto sposób podsumowuje bolączki współczesnego człowieka, bolączki, o których pisze Ławrynowicz: „Centralnym zagadnieniem współczesnego świata jest zupełna emancypacja i autonomia umysłu stechnicyzowanego. [...] Żądanie absolutnej wolności prowadzi ludzi wprost na dno niewoli [...]. W istocie rzeczy technologia reprezentuje rządy ilości, a nie rządy rozumu”<sup>10</sup>.

Edward Estlin Cummings, poeta należący do „straconego pokolenia” (*Lost Generation*), jednemu ze swoich wierszy nadał ironiczny tytuł *Ludzkości kocham cię*. O swej „miłości” pisze w następujący sposób: „Ludzkości kocham cię / dlatego że wołałabyś raczej wyczyścić buty sukcesowi niż spytać czyja dusza wisi / u łańcuszka jego zegarka co byłoby kłopotliwe dla obu stron”<sup>11</sup>. Z utworu jasno wynika, że stosunek poety do człowieka jest zgoła odmienny, co poświadcza ostatni wers wiersza, w którym Cummings wyznaje: „Ludzkości nienawidzę cię”<sup>12</sup>.

Ławrynowicz wyśpiewuje swój gniew i żal do człowieka współczesnego, lecz nie o nienawiści jest jego pieśń, ale o samotności wśród ludzi znieczulonych na miłość, i o świecie, w

<sup>9</sup> Z. Ławrynowicz, *Skarga człowieka XX wieku*, [w:] tegoż, *Syn marnotrawny i inne wiersze*, Londyn 1968, s. 64.

<sup>10</sup> T. Merton, *Zapiski współwinnego widza*, przeł. Z. Ławrynowicz, M. Maciołek, Poznań 1994 s. 110–112.

<sup>11</sup> C.C. Cummings, *Ludzkości kocham cię*, [w:] P. Sommer, *O krok od nich. Przekłady z poetów amerykańskich*, Wrocław 2006, s. 81.

<sup>12</sup> Tamże.

którym rządzi „człowiek masowy” – jak pisze Thomas Merton – doskonale „wrośnięty w egzystencję nieskomplikowaną myślami na temat istoty rzeczy” (*Pisane w biurze – W*, s. 92).

Justyna Budzik

### Summary

#### **„Multitude stands in my mind...”. Zygmunt Ławrynowicz’s Poetic Dialogues with John Robinson Jeffers**

The essay presents a comparative study of Zygmunt Ławrynowicz’s and John Robinson Jeffers’ poetry. The aim of this literary analysis is to provide an outline of Ławrynowicz’s poetic inspirations in which a special emphasis is laid on the influence of John Robinson Jeffers. The author of the essay refers to a collection of poems entitled *Anglobabylon* in which the aforementioned poetic dialogue between Ławrynowicz and Jeffers is most apparent. Ławrynowicz’s life philosophy, his approach to man's presence in the world, and the way in which he juxtaposes the two spheres – the kingdom of nature and that of man – correspond with many of Jeffers's ideas. The essay outlines some similarities between the poetry written by one of the Polish emigré poet and the 20<sup>th</sup> century American writer also by making references to some of the metaphors and the choice of individual words. Moreover, the author points to another source of Ławrynowicz's inspirations – works of Thomas Merton – and refers to one of them: *Conjectures of a Guilty Bystander*.